

Kto się boi Romaszewskiego?

Łatwiej odpowiedzieć na pytanie o czas przeszły kto się bał obecnego senatora, przewodniczącego Senackiej Komisji Praworzędności i Praw Człowieka, w latach 80. pomysłodawcy i kierownika Komisji Interwencji i Praworzędności NSZZ Solidarność, twórcy podziemnego „Radia Solidarność”, przedtem członka Komisji Krajowej, organizatora Biur Interwencji w strukturach związku, przedtem, w latach 70. szefa Biura Interwencji KSS „KOR”, więźnia politycznego.

Romaszewskiego bali się ci, którzy obawiali się praworzędności. Najogólniej mówiąc — przestępcy, generałowie bezpieki, którzy wytaczali „linię bezprawia” na miarę potrzeb kierownictwa PZPR i szeregowi milicjanci, którzy potrafili zamordować człowieka dlatego, że był pijany, prokuratorzy, sędziowie na usługach SB i mali urzędnicy podejmujący „czynności pozaprawne” w imię swoich małych karier; wybitni towarzysze — wyzyskiwacze robotników i towarzysze zaradni — złodzieje mienia państwowego. Wielu z nich boi się do dzisiaj, gdyż łatwiej pogodzić się z utratą władzy niż ze stratą przywłaszczonego majątku.

Wiosną zeszłego roku, kiedy nieliczni, spóźnieni o kilka lat nawoływali jeszcze do jedności ugrupowań „solidarnościowych” w sprawach zasadniczych, w głosowaniu sejm „kontraktowego” Zbigniew Romaszewski, kandydat OKP na prezesa Najwyższej Izby Kontroli, przegrał z kandydatką komunistyczną, Wiesławą Ziółkowską. Zaraz po tym wiadomości przekazały jego krótką wypowiedź, że wybór pani Ziółkowskiej jest sukcesem Unii Demokratycznej. Nazajutrz poseł Unii tłumaczył telewizjom, że jego klub nie był przeciwny Romaszewskiemu, lecz wysunął własnego kandydata, prof. Gaberle z Krakowa. Nie było jednak wątpliwości, że brak poparcia ze strony Unii przesądził o wygranej postkomunistycznej lewicy. Postawa ówczesnej lewej strony, czyli sejmowej większości nie dziwiła — dlaczego nie mieliby przeciwstawić „swojego człowieka” antykomuniście, kandydatowi Solidarności?

Romaszewski — jak sądzę — był zirytowany poczynaniami posłów Unii. Wśród nich ci, którzy znali go dobrze z opozycyjnej działalności lat 70. nie kwestionowali doświadczenia ani kompetencji bezpartyjnego kandydata Wiesławy Ziółkowskiej, rzekomo popieranej przez prezydenta, nie zaakceptował senat, przychylny Romaszewskiemu. Wreszcie sprawę skomplikowało to, że pani Ziółkowska żarliwie powoływała się na poparcie prezydenta RP. Jak się okazało, Lech Wałęsa w bezpośredniej rozmowie przed głosowaniem istotnie wyraził się przychylnie

o jej kandydowaniu. Trudno na tej podstawie sądzić, czy prezydent przeciwny był Romaszewskiemu. Gdyby tak było, jego motywacje byłyby trudniejsze do odgadnięcia niż w przypadku polityków Unii. Lech Wałęsa i Zbigniew Romaszewski znają się od lat 70.; Romaszewski opowiedział się za Wałęsą w wyborach prezydenckich. Z punktu widzenia Belwederu jest politykiem niezależnym od jakiegokolwiek koterii, ale lojalnym. Te cechy powinny zjednywać do niego Wałęsę.

Najwyższa Izba Kontroli jest jednym z najważniejszych organów państwa. O randze politycznej tego urzędu stanowi choćby to, że prezes NIK ustawowo przedstawia sejmowi wniosek o absolutorium dla odchodzącego rządu. Jak ważna „tu i teraz” jest ta instytucja, nikogo nie trzeba przekonywać. Choć państwowa, a więc ponadpartyjna, traktowana jest jak „policja polityczna” przez tych byłych funkcjonariuszy komunistycznych (a także ich obecnych politycznych harcówników), którzy dzięki dalekowzroczności Rakowskiego i krótkowzroczności „naszych” premierów państwo okradli. Ci mają powody, by bać się Romaszewskiego. Ale prezes NIK — zwłaszcza on — musi być daltonistą.

Zbigniewa Romaszewskiego po raz drugi wybrano senatorem RP. W senacie zgłoszono jego osobę na funkcję marszałka Izby. Odmówił kandydowania powiadamiając, że zamierza ubiegać się o stanowisko prezesa NIK. W sytuacji, kiedy powszechnie odczuwalna jest nieczytelność zamierzeń, a nawet intencji polityków — tego rodzaju otwarte deklaracje należy cenić jako przejawy politycznej odpowiedzialności.

Stanowisko prezesa NIK nie może być elementem partyjnych, koalicyjnych czy innych prestiżowych przetargów według zasady *jak wy macie to, nam dajcie tamto, żeby była równowaga*. Praktyka demokracji w państwie, czyli demokracji parlamentarnej polega na dzieleniu się władzą w czasie, a nie w przestrzeni, innymi słowy, dzieli się władzę w dłuższym dystansie, a nie codziennie po równo. U nas bierze górę przekonanie, nie wiadomo skąd zapożyczone, że jeśli jakaś partia właśnie osłabła, to demokracja wymaga, aby dla „równowagi” (czego? kogo?) przywrócić jej wpływy przydziałem stołków.

Sądziłem, że przynajmniej kluby sejmowe, wywodzące się z tradycji antykomunistycznej, zdecydują się zgodnie na tę kandydaturę. Romaszewski znany jest wielu ludziom z różnych środowisk, jest człowiekiem „pewnym” i przewidywalnym. Swoją przeszłością, w której niejednokrotnie

ujawniał mocny kręgosłup, zdobył sobie renomę „człowieka — instytucji”, także za granicą. Nie wszystkim ta cecha, rzecz jasna, odpowiada, jeśli oznacza niezależność od „życzliwych rad”, „serdecznych próśb” etc. formułowanych przez grupy rozmaitego interesu. Prezes Najwyższej Izby Kontroli, wybrany przez sejm, akceptowany przez prezydenta, byłby niezależny od interesów poszczególnych partii czy koterii rozmieszczonych w różnych ośrodkach władzy. Byłby niezależny od „zwolnień” i „przyspieszeń”. W tej zmiennej rzeczywistości politycznej Najwyższa Izba Kontroli byłaby elementem stabilnym.

Niestety, partie, i to te, które często powołują się na dobro państwa, chcą tam mieć „swojego człowieka”. Unia Demokratyczna, w myśl własnej doktryny, *jeśli zrobisz sto błędów zrób koniecznie jeszcze jeden*, zgłasza ponownie kandydaturę prof. Gaberle. Sojusz Lewicy Demokratycznej, który poprzednio zgłosił Wiesławę Ziółkowską teraz proponuje Józefa Oleksego. Inny klub na razie nie wysuwa nikogo, ale zapowiada, że w razie „pata” wyjmie kogoś z rękawa. A więc „pat” (jakby mało tych „patów” ostatnio było) jest już, w kwestii obsadzenia stanowiska prezesa NIK, przewidywany. Nie zniechęciło to wszakże części posłów z klubu ZChN, którzy wysunęli swojego kandydata — Henrykę Klatę. Poseł ZChN z Leszna powiedział mi, że jest on kompetentny i też siedział, nawet wcześniej. Zapytany, dlaczego wysuwa się kandydata przeciw Romaszewskiemu wyjaśnił mi, że po pierwsze ma największe szanse, a po drugie *Romaszewski ma ciągoty, żeby zwalniać kryminalistów z więzień*. Inny poseł z tej grupy zwolenników

swojego pewnego kandydata miał użyć argumentu na niekorzyść Romaszewskiego, że ten działał w KOR. Tak przy okazji doczekaliśmy czasów, w których „najprawdziwsi” Polacy, jak kiedyś prawdziwi ubecy, działalność Komitetu Obrony Robotników w latach 70. (jednym z jej inspiratorów był Antoni Macierewicz) kwalifikują negatywnie (strach myśleć, kiedy zaczniemy od „swoich” obrywać za sierpień 1980).

Zdaję sobie sprawę, że napisałem pochwałę Zbigniewa Romaszewskiego, człowieka, którego chwalić nie trzeba. Ale pisałem o nim nie tylko dlatego, że jest to „mój” kandydat. Osoba Romaszewskiego w kwestii obsady stanowiska prezesa NIK jest papierkiem lakmusowym dla tego sejmiku, którego w tym miejscu broniłem przed różnymi rozżalonymi, którym śpieszno było do przyspieszania następnego wyborów. Czekamy więc. Dobro państwa, czy partii? Wybierajcie, panowie.

23 stycznia 1992

LECH DYMARSKI

